

Szczęśliwego zakończenia nie będzie

27 kwietnia 2009

Konkretnie pytanie dotyczące niedawnej inwazji Izraela na Gazę powinno brzmieć nie „kto ma rację”, ale „czy Izrael może przetrwać”.

Gdy piszę te słowa, Izrael używa armii, nastawionej na walkę z wrogimi państwami do zwalczania wrogiej populacji. We współczesnym świecie to rzadko przynosiło rezultaty. Aby pokonać państwo niszczy się jego siły zbrojne i zajmuje jego terytorium. Gaza jednak ma niewiele sił zbrojnych, które można by zniszczyć, żadnych czołgów, czy samolotów, a jej terytorium było i jest kontrolowane przez Izrael. Izraelskie Siły Zbrojne (IDF) mogą Gazę najechać, ale populacja dalej tam będzie mieszkać i dalej będzie wroga. Szturchanie galarety ma niewielki skutek.

Izrael jest i będzie małym krajem, w regionie który go uparcie nie chce. Racje i krzywdy nic tu nie zmieniają. Raz za razem Izrael atakuje wrogów, którzy mogą być pokonani, ale nigdy całkowicie. I tak bomby spadają na Gazę, na Syrię, na Bejrut, czy być może nawet na Iran. Każda wojna jest gwarancją następnej: 1948, 1956, 1967, 1973, 1982, 2006, 2009, i dalszych ciągłych wojen.

Dzisiejszy Izrael nie jest tym wymarzoną kiedyś krajem, w którym profesorowie z Heidelbergu, uciekinierzy z Europy, pracowaliby na roli wraz z kibucnikami, a wieczorem grali w szachy i na skrzypcach. Brutalny konflikt tworzy brutalnych ludzi. Masakry wiodą do przeciw-masakr, ekstremiści dochodzą do głosu, a rozwiązania siłowe wydają się być jedynymi możliwymi.

Do czego to prowadzi? Jak długo może trwać? Następne 50 lat? A może 100? Powiadam, że albo ten kraj osiągnie pokój ze swymi

sąsiadami, albo skończy tak jak królestwa Krzyżowców. Można głosić, że Izraelczycy są najlepszymi ludźmi świata, albo najgorszymi, ale to nie ma znaczenia. Umiera się tak samo, czy ma się rację, czy jej nie ma.

Izraelczycy znaleźli się w pułapce własnej polityki. Kontynuują aneksję Zachodniego Brzegu. Ich osiedla są już tak liczne i tak zaludnione, że ich usunięcie jest prawdopodobnie polityczną niemożliwością dla rządu Izraela, co wyklucza rozwiązanie sporu przez stworzenie dwóch państw w Palestynie. Kontrolowanie dużej i wrogiej mniejszości jest możliwe tylko przy użyciu ostrych metod, które z kolei podtrzymują wrogość tej mniejszości. Tymczasem w Palestynie Arabowie mnożą się o wiele szybciej niż Izraelczycy, tak że proporcjonalnie kurcząca się liczba Izraelczyków rządzi rosnącą liczbą Arabów. Nasuwa się porównanie z Południową Afryką. Ale czy tamto rozwiązanie może skutecznie działać? I jak długo?

Izrael ma też znaczną wewnętrzną mniejszość arabską. Oni też mają więcej dzieci niż Żydzi. Jeśli ten trend będzie się utrzymywał i izraelscy Arabowie zachowają prawo głosu, Izrael będzie pewnego dnia krajem islamskim. Prędzej czy później stanie przed wyborem: demokratyczny albo żydowski.

Amerykanie wybili autochtonów, Hiszpanie się z nimi wymieszali, Izrael jednak nie może zrobić ani jednego ani drugiego.

Skoro Izraelczycy nie chcą się pobratać ze swoimi Muzułmanami, będą mieli do wyboru pozbawienie ich prawa głosu, lub czystkę etniczną. Pozbawienie prawa do udziału w wyborach będzie prowadzić do coraz mniejszej liczby Żydów, rządzących coraz większą liczbą Muzułmanów. Coś jak w Alabamie w latach 1930.

Pozbawianie prawa głosu już się zresztą zaczyna. Izrael właśnie zabronił partiom arabskim brania udziału w nadchodzących wyborach, ale sądy je zaraz „odbroniły”.

Czystka etniczna? Spędzenie i wygnanie licznej mniejszości

wymagałoby użycia wyjątkowej brutalności. To prawdopodobnie byłoby najmniej moralne, ale najbardziej praktyczne rozwiązanie. Protest Kongresu [amerykańskiego, przyp tłum] jest wyjątkowo mało prawdopodobny, ale nawet gdyby, to jak podejrzewam, po fakcie. Zresztą Kongres przyjąłby z aprobatą zrzućenie bomby atomowej na Chicago przez Izrael.

Trend długoterminowy jest jednak w dół. Pozycja militarna Izraela nie jest tak dobra jak mogłoby się wydawać. Posiada on doskonałe lotnictwo, dobrą armię z poboru, broń atomową i słabszych przeciwników. Nic z tego nie jest szczególnie użyteczne przeciw wrogiej populacji.

Jest prawdopodobne, że kraje islamskie zdobędą kiedyś broń atomową. Zagrożenie nie leży w możliwości użycia jej niespodziewanie przeciw Izraelowi, gdyż byłoby to samobójstwo. Broń atomowa nie musi jednak być użyta, żeby była skuteczna. Dziś Bomba jest asem atutowym Izraela. Gdyby, powiedzmy, Syria zaatakowała i (choć to nieprawdopodobne) wzięła górę, syryjskie miasta zostałyby spopielone i Damaszek o tym dobrze wie. Dzięki temu Izrael nie jest zagrożony klęską konwencjonalną. Gdyby jednak kraj arabski miał broń atomową, ten as stałby się bezwartościowy. Trzeba bardzo uważać z bombardowaniem krajów, które mogą „wyparować” w odpowiedzi „swoje” miasta.

Co więcej, Izrael istnienie swe opiera w 100% na innym kraju – Ameryce. USA dostarcza uzbrojenie, pomoc finansową, weta w ONZ i wsparcie wojskowe w sytuacjach ostatecznych, gdy Izrael jest w kłopotach, jak np w 1973. Bez tego oparcia Izrael nie mógłby istnieć – małe kraje, nie posiadające nafty, nie mogą sobie pozwolić na wielkie armie.

Gdybym był Izraelczykiem, bardzo by mnie to niepokoiło. Wsparcie Ameryki zależy w znacznej mierze, o ile nie całkowicie, od izraelskich „lobbies”. Gdyby się one zachwiały, zachwiałyby się Izrael. Nie oznacza to, że w USA kipi przytłumiony antysemityzm, czekający na swój dzień. Kluczowe

jest to, że dziś jest dzisiaj i nie wiadomo co będzie jutro. Kongres popiera każdego, kto mu płaci, czy go zastrasza i dzisiaj „lobby” może zmusić do płacenia wysokiej ceny za opozycję. Ale jeśli wiatr zawieje w inną stronę, Kongres zakręci się razem z wiatrem. Co może stworzyć taki przeciwny wiatr ? Nie wiem. Widzę tylko, że Izrael nie ma nafty, jego wrogowie ją mają, a światowy popyt na ropę szybko rośnie. Wystarczy tu przypomnieć casus Tajwanu [rzuconego przez USA na pastwę losu, na rzecz Chin, przyp tłum].

Dalej, podejrzewam, że poparcie dla Izraela w społeczeństwie [USA, przyp tłum], nie jest nawet w przybliżeniu tak silne, jak się uważa. Wśród konserwatystów, których jest niemało, istnieje znacząca, choć łagodna niechęć do Żydów i o wiele silniejsza wrogość wobec Izraela. Trudno mi powiedzieć, jak jest ona silna. Irytacja to jedno, chęć doprowadzenia tego kraju do upadku, z prawie pewnymi tragicznymi konsekwencjami, to drugie. Ludzie jednak rzadko patrzą tak daleko w przyszłość. Wielu, gdyby mogło otwarcie wyrazić swe zdanie, wzruszyłoby ramionami mówiąc „No to co. To ich problem”. Takie narodowe wzruszenie ramionami oznaczałoby koniec Izraela.

Wydaje mi się, że słaby na razie odór klęski unosi się nad Tel Awiem. Potęga Ameryki wydaje się być u schyłku, rezultaty jej wojen z Islamem wątpliwe, a jej kontrol nad muzułmańskimi satelitami niepokojąca. Nic co Izrael może zrobić nie zapewni trwałego rozwiązania jego problemów. Demografia jest zagrożeniem, wrogość Arabów regionu jest niezmienna, przewaga militarna może tylko maleć i cały ten syjonistyczny projekt wisi na włosku „lobby”. Pamiętam jak myślałem o ZSRR – „to nie może się utrzymać” i nie widziałem też żadnej szansy na jego przetrwanie. No i padło.

W przypadku Izraela, o ile się coś nie zmieni (a nie mam żadnych pomysłów na zmiany), też nie przewiduję szczęśliwego zakończenia.

Autor: Fred Reed

Źródło oryginalne: www.lewrockwell.com/reed/

Źródło polskie: [Alternatywa](#)

O AUTORZE

Fred Reed jest autorem "Nekkid in Austin: Drop Your Inner Child Down a Well" i właśnie wydanego "A Brass Pole in Bangkok: A Thing I Aspire to Be".